

[malowanych zbożem rozmaitem...](#)

Drobne przyjemności Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem...

Budynki gospodarstwa obejmowały zwyczajowy czworobok. Na lewo od chałupy stało prostopadle królestwo zwierząt: w trzech przegrodach kolejno kurnik, stajnia i obora. Odwiedzając siostrę, z wielką radością odnajdywałam w różnych zakamarkach gospodarstwa dopiero co złożone ciepłuteńkie, świeżuteńkie jaja. Bywało też wielokrotnie, że wbijałam metalowe bolce na polu, przeprowadzając krowy na nowe miejsca pastewne, nosząc przy sobie na wszelki wypadek kij do ewentualnej obrony przed młodym byczkiem. Na szczęście kij mi się nigdy nie przydał, ale – zamiast przez byczka – zostałam ongiś łagodnie kopnięta w głowę przez prąd, przepelzając niezbyt dokładnie pod „elektrycznym pastuchem”.

Naprzeciwko chałupy, równolegle stała stodoła pełna siana, która mieściła także wóz konny. Po prawej, prostopadle był budynek, w którym – później – pyszniła się nowiutki traktor. W środku podwórka stała lipa, rzucająca w upalne dni cień na biesiadujących pod nią. Oczywiście, nie brakowało też studni z żurawiem, który pięknie skrzypiał podczas wyciągania wiadra z wodą. Czworobok zamykała (czy otwierała?) chałupa w stu procentach godna tej nazwy, postawiona ponoć jeszcze w końcu XVIII w., budowana z drewna bez użycia gwoździ, z sienią z klepiskiem, z piecem chlebowym, z belkami u powały, kryta strzechą.

Powyższy opis pasuje jak ulał do najprawdziwszego skansenu. Pięknie i łatwo to powiedzieć, trudnej w takich warunkach żyć, zwłaszcza zimą. Gdy rodzina powiększyła się o córeczkę – przy studni zamontowano pompę z motorem, potem stopniowo zjawily się łącza wodociągowe, strzechę wymieniono (niestety!) na eternit, w pokojach dostawiono elektryczne grzejniki. Nie zmieniły się tylko pory orki, siewu i żniw oraz konieczność oporządzania zwierząt.

Kilkanaście lat temu, wraz ze śmiercią gospodarza, cykl codzienny i roczny wiejskiego życia uległy nagle przerwaniu. Zwierzęta znalazły nowych właścicieli, kilka „spadkowych” hektarów ziemi uprawiał zaprzyjaźniony rolnik, na łąkach wypasał swoje krowy. Moja siostra wróciła do Łodzi do miejskiego życia, siostrzenica szuka swego miejsca po świecie. Jeżdżą – często – wraz z przyjaciółmi do Leśnika latem, smakując zmienny koloryt ziemi, zbóż i zieleni oraz – bliższych niż w mieście – obłoków.

Wiosną 2017 r. tuż tuż od ich miedzy wyrosła nagle nowusieńka, pachnąca świeżo

pociętymi deskami ambona, z wylotem na hipotetyczne lufy strzelnicze, wycelowane prosto na ich pole. Nie wiadomo, czy to prawda, czy halucynacja. Siostra z siostrzenicą dumały, gdzie tu się odwołać od tego architektonicznego dziwa i jak tu bezpiecznie spacerować po własnym gruncie. Znajomi żartowali, że przyczyna leśnej strzelnicy tkwi w okresowym nadmiarze szyszek. Przez małe i duże „s”. Nie wiadomo jak, nie wiadomo skąd, ale po kilku miesiącach budowla nagle znikła. Śladu po niej nie ma.

W ubiegłym roku znajomy rolnik przestał pomagać w uprawie ziemi, sprzedał własne krowy, poszedł na rentę. Syn jego zajmuje się pracą dojazdową w mieście. Gospodarstwo umarło. Czasem pojawi się jakiś jeź, czasem sarenka, wiewiórka, często koty o tajemniczych, zielonych oczach.

xxx

Z materiałów źródłowych wiadomo, że w 1796 r. ówczesny właściciel Leśnika - Konstanty Milewski sprowadził tam i osadził dziesięć rodzin kolonistów niemieckich. W 1823 r. we wsi mieszkało już ponoć stu dwudziestu sześciu protestantów. Następne pokolenia osadników – szukając lepszego życia – wyprowadzały się, często do pobliskiego Uniejowa czy Poddębic. W Poddębicach nadal jest piękna, ewangelicka świątynia z cotygodniowymi nabożeństwami.

W Leśniku nie ma już prawie gospodarstw rolnych, prym wiedzie ponad setka działkowiczów z Łodzi i Warszawy. Ale w środku wsi trwa cmentarzyk niemiecki z (wciąż!) zadbanymi grobami i opisami dat śmierci osób zmarłych o germańskich nazwiskach, zapisanych w języku polskim. Kilka lat temu byłam tam świadkiem uroczystego pochówku kobiety imieniem Abelgarda, którą opłakiwała córka Helga ...

Krystyna Borysewicz-Charzyńska